

Manifest bibliotecznego anarchisty (umiarkowanego)

Pamiętacie mroczną bibliotekę opactwa, po której wędrowali Wilhelm z Baskerville i Adso w *Imieniu Róży* Umberto Eco? Jej wizerunek zapadł mi w pamięć o wiele mocniej niż wizja tego przybytku w eseju *O bibliotece* tegoż autora. Czemu? Bo ja pracuję w takiej przyklasztornej bibliotece, gdzie zawsze panuje plucha i jesień, a śmiech jest zakazany. Nie pamiętam już, kiedy z przewodnika po świecie wiedzy, asystentującego studentom przy trudnej operacji, jaką stanowią studia wyższe, zamieniłem się w więziennego klawisza, który młodzież nie tylko poucza, ale i represjonuje.

Że trochę napuszone? Może w końcu przegrałem walkę z nowotworem nadęcia narastającym we mnie przez nieustanne powtarzanie mi, że pracuję w K S I A Ǽ N I C Y – jedynej w swym rodzaju świątyni wiedzy. Jestem kapłanem, który odprawia nieracjonalne i uciążliwe rytuały. W świątyni nie mówi się głośno, nie je, nie można rozłożyć się wygodnie i zdjąć na chwilę butów, by dać odpocząć stopom. Zaśmiejesz się, to pójdziesz do piekła! Kapłan wiedzy już o to zadba. Jestem strażnikiem więziennym, przechadzającym się po korytarzach w rytm głuchych uderzeń pałki o drzwi pokojów cichej nauki. Dla strażnika regulamin nie stanowi środka do zachowania spokoju, ale jest celem samym w sobie – regulamin ma wymusić u więźniów posłuszeństwo i karność, nie można im popuścić nawet na jotę, bo to psychopatyczne kreatury, a nie normalni ludzie.

Wiecie co? To totalny absurd. Studenci to tacy sami ludzie, jak ty czy ja - oni są po prostu młodzi. A młodość, moi mili, rządzi się swoimi prawami, z których podstawowym jest prawo do bycia głupim. Jasne, bywają głośni, wpadają na pomysły godne nagrody Darwina. Wsuwanie ociekającego tłuszczem hamburgera nad średniowiecznym manuskrypcem nie stanowiłoby dla nich problemu, bo przecież „będę uważał”. Nie mają wyobraźni, albo wręcz przeciwnie, mają jej aż za dużo, zwłaszcza przy wymyślaniu nowych zastosowań dla bibliotecznych sprzętów.

Przodują w tym studenci zagraniczni, którzy najczęściej za swoją naukę płacą. Jak płacisz, to wszystko Ci wolno – taką zasadę wyznają Brytyjczycy odtwarzający bitwę o Anglię w krakowskich klubach, taką filozofię stosują rodziny „Kiepskich”, koczujące w obskurnych hotelach nad Morzem Śródziemnym, tak też często zachowują się studenci z innych krajów.

Tak więc uprzedzam Wasz zarzut, nie gloryfikuję młodych czytelników, wiem jak potrafią zaleźć za skórę. Wiem też, że represje nie pomogą. Musimy zdać sobie sprawę, że jedziemy na tym samym wózku – biblioteka to miejsce, gdzie spędzamy ładny kawałek

każdego dnia. Przyświecają nam, co prawda, inne cele: my wykonujemy naszą pracę, oni się uczą, jednak wszyscy chcemy jak najbardziej komfortowych warunków i miłej atmosfery. My mamy prawo do przerwy na drugie śniadanie czy lunch, czemu więc zakazujemy studentom jedzenia posiłków w obrębie biblioteki, nawet poza czytelniami. Czy rzeczywiście muszą przechodzić do drugiego budynku, żeby zjeść kanapkę? W naszej pracy staramy się jak najlepiej przystosować nasze stanowisko pracy i często potrzebujemy w tym celu masy różnych przedmiotów. Czemu więc zabraniamy studentom wnoszenia toreb i plecaków, pozwalamy wnieść jedynie to, co zmieści się w dłoniach? Czy w świecie pasków i bramek magnetycznych ma to jeszcze sens? Inaczej, czy jeśli komuś naprawdę będzie zależało, żeby wynieść książkę z czytelni, to i tak nie znajdzie sposobu?

Kiedy myślę o moim wymarzonej ustroju bibliotecznym, to jawi mi się anarchizm. Anarchizm rozumiany jako brak strażników więziennych, wraz z regulaminem skompresowanym do paru linijek tekstu. Nie niszczyć, nie kraść, podaruj innym taką ciszę, jakiej oczekujesz od innych. Czy istnieje kwestia (pomijając te czysto organizacyjne, jak godziny otwarcia), której nie da się rozwiązać korzystając z tych trzech zasad oraz zdrowego rozsądku bibliotekarza? Marzy mi się anarchizm opierający się na pełnej wolności w organizacji swego stanowiska pracy, zarówno dla nas, jak i studentów. Nie anarchia utożsamiana z chaosem i samowolą. My jako starsi i (teoretycznie) mądrzejsi, musielibyśmy napominać tych, którzy nie szanują cudzej wolności oraz wspólnej własności. Chciałbym jednak skończyć z byciem kontrolerem biletów w autobusie. Dla tej profesji sukces to porażka pasażera. Nie chcę swej pracy opierać na porażkach czytelników.

Przy okazji kontrolerów, przypomina mi się pewne zdarzenie. Kiedyś zapomniałem biletu i zostałem na tym przyłapany. Wypisywany mandat był przyznany całkowicie słusznie i miałem zamiar go zapłacić. Jednocześnie czułem się poddany swego rodzaju represji i wcale nie miałem ochoty współpracować z kontrolerem. Czy tym właśnie chcemy być dla studentów? „Kanarami”?

Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę – taki banał mógłby zostać wytatuowany na łopatkę jakiejś przesolaryzowanej osiedlowej księżniczki. Ale czy banalność wyklucza prawdziwość? Jeśli będziemy z pełną stanowczością egzekwować nielogiczne przepisy, otrzymamy w zamian jedynie niechęć i robienie na złość.

Dlatego nawołuję: bibliotekarze palcie krawaty, bibliotekarki palcie biustonosze i na barykady! Ale tylko po to, by je rozebrać i zatrzeć granice pomiędzy bibliotekarzami i czytelnikami, bo dla wielu jednych, jak i drugich, biblioteka stanowi drugi dom.